

Listy starej Józefy do młodej mamusi.

List drugi.

KOCHANA HELENKO.

Piszesz i prosisz żebym Ci radziła. Skarżysz się, że nieraz niema końca łajaniu i napominaniu. — Może nadużywasz tego sposobu, zapominając, że dzieci nie tylko tą drogą mogą być wychowane. Czy znasz tę piękną bajkę „Babka Katarzyna”, historię starej kobiety, mieszkającej w ubogiej chatce, ze swym małym wnucukiem i czworgiem kurcząt? — Nieraz prawie gniewamy się na Katarzynę, że tak psuje chłopczyka swego, który we wszystko jej się wtrąca, wszystko wymusi, wyżebrze. I istotnie, nie jest prawdziwą wychowawczynią ta staruszka, nazbyt ona łagodna, i ustepliwa i lepiej byłoby dla chłopca, gdyby był kierowany mocniejszą ręką. Mimo to, trudno oprzeć się przekonaniu, że z tego dziecka wyrośnie zacy człowiek; odkąd bowiem tylko myśleć [potrafił, patrzył tylko na zacy czyny. Pilnie i gorliwie obrabiała babunia swe półko ziemniaczane i zagonik lnu, pracowała i przędła od świtu do wieczora, życzyła dobrze wszystkim ludziom, nawet tym, którzy ją krzywdzili. — Musiało to przecież wpływ wyrzeć na chłopca. I gdy się potem na świat wy dostał, miał w sercu silny probierz, i wśród olśniewających ponęt świata, wiedział kiedy niedobrze ludzie czynią. Niehoszczka babunia była inna, jakaż pracowita i cicha i wdzięczna i uczciwa!

Dzięki Bogu, w tobie i twoim kochanym mężu, mają dzieci także dobry przykład. Nic nie wywiera równie silnego wpływu. Dzieci wszystko chętnie naśladowują i tą drogą prowadzi się je bez przymusu do dobrego. Trzeba się naturalnie bardzo pilnować, gdy się ma stale za przykład służyć. Jak to łatwo być gwałtownym, niedbałym, w złym humorze, a wtedy spo

dają na nas dziecięce oczy z powagą i zdziwieniem. Nieraz myślałam sobie, że właściwie nie tylko my dzieci trzymamy na wodzy, ale i one nas trzymają równie silnie. To nie jest wygodne. Jak to trzeba panować nad naszymi słowami, ażeby naprzykład przy dzieciach nie obmawiać ludzi. Tego nigdy nie robisz, wszak prawda?

Jeśli już koniecznie chcesz wyładować swą złość na waszych niemiłych sąsiadów Wolskich, to poczekaj aż będziesz sama z mężem. Bywają rodzice pod tym względem bardzo nieostrożni. Słyszałam rodziców wyrażających się krytycznie i lekceważąco nawet o nauczycielu. Odbiera to dzieciom wszelki szacunek i zaufanie do niego. Jakże można w ten sposób postępować, zamiast cieszyć się i żywić wdzięczność, że pomaga nam wychować i kształcić dzieci! Sami nie podobalibyśmy. Gdy się dzieci skarżyły, stawałam zawsze, dopóki to tylko było możliwe, po stronie nauczyciela. A gdy nie mogłam dać sobie z tem rady, udawałam się do niego, ażeby się dokładnie o wszystko dowiedzieć i kończyło się zawsze na przyjaznej rozmowie, z której się niejednej rzeczy nauczyłam. Trzeba przecież w tak ważnej sprawie razem pracować, a nie przeszkadzać sobie.

Odeszłam trochę od przedmiotu. Mówiliśmy o dobrym przykładzie. Zupełnie małym dzieciom, twemu kilkomiesięcznemu Jankowi i Wandzi, przykład niewiele pomoże. Trzeba je tresować, jak zwierzątka, przyzwycajać do pewnych rzeczy, np. do czystości, posłuszeństwa, umiarkowania, różnicy w pojęciu „moje” i „twoje”. Z surowością trzeba małym wpoić, co jest najpotrzebniejsze; im wcześniej, tem łatwiej to przyjdzie. Cóż, kiedy zbyt są miłe, przy popełnianiu tych pierwszych wykroczeń, — wiem o tem dobrze! Gdy mały, przy kaszce której nie lubi, tłucze wokoło aż łyżka przelatuje nad kanapą, a zaraz potem krzyczy zabawnie „Mee”, sięgając po słodki sucharek, mu-

M. NADOLSKA HOŁUBSKA.

Obrazki z r. 1863.

W Dobrzelinie.

(ciąg dalszy)

Gdy pan Józef z Chrzastowskim, uwolnionym również, spotkali się za murami więzienia uścisnęli sobie po przyjacielsku dłoń.

- No, wykpił się jakoś — rzekł Chrzastowski
- Bóg poszczęścił — odparł pan Józef.
- Cóż teraz? wracamy każdy do swojego zajęcia?
- Naturalnie, ja żywić i ubierać partje.
- A ja do lasu.

Jakoż wrócili! Chrzastowski został dowódcą u Syrewicza, pan Józef dalej dostawiał powstańcom żywność, odzienie, zawiadamiał o ruchach wojsk moskiewskich i t. p. Pomagał mu Mikołaj, który nagrodzony ziemią i piękną zagrodą nie służył już wprawdzie, ale nienawidził Moskali jeszcze silniej niż przedtem i wier nie pomagał sprawie ojczystej.

Potyczka i... dzieci.

Zaroił się dziedziniec ludźmi i końmi, rozdzwonił brzękiem ostróg i strzemion, zakwitł gorącymi barwami żółtych i niebieskich mundurowych wyłogów. Huknęły głosy komend, trąbki dźwięcznie grały zsiadanego.

— Pan Józef wybiegł z radością ku dowódcy.

— Witam, witam — mówił ściskając podaną z konia dłoń — Na długoż to? Już mi się przyjedli Moskale i kozackie papachy, radby człowiek swoimi się ucieszyć.

— Tylko konie popasiam, panie Józefie — odrzekł zeskakując z wierzchowca i rzucając cugle jednemu z dwóch małych, przebranych, za Czerkiesów chłopów, stahowiących jego straż przyboczną dowódca oddziału, Syrewicz.

Był to mężczyzna ciemnowłosy, średniego wzrostu, bakobrody i wąsy dodawały powagi i męskości jego inteligentnej twarzy. Dawny lekarz armji rosyjskiej na pierwszy apel rzucił stanowisko i jako dowódca partji przez 8 miesięcy bił się w okolicach Dobrzelina, poczem skompromitowany zupełnie musiał wyjechać do Ameryki.